

„Godzien litości”

— komedia nieznana

„Godzien litości” jest jedną z późniejszych i — powiedzmy sobie od razu — nienajlepszych komedii Aleksandra Fredry. Na korzyść warszawskiej Estrady, która tę właśnie komedię przywiozła ze sobą na gościnne występy do Łodzi, należy jednak zapisać, że jest to komedia nieznana.

Z początku komedia wydaje się po prostu dość nudna. Akt pierwszy — mimo że wyjątkowo krótki — ciągnie się jak... ciasto na francuskie kluski, nie mając za to nic z francuskiego dowcipu, który tak bardzo upodobał sobie u Fredry Boy-Żeleński. Na scenie solidny adwokat krakowski Dorynt i „trzępota nie pozbawiony na swój sposób uroku” Elwin, rzekomo (wnosząc z programu), bliski krewny duchowy Gustawa ze „Ślubów panińskich”. To „duchowe powinowactwo” Gustawa i Elwina wydaje się jednak przez cały pierwszy akt pozorowane — Elwin jęczy i zawodzi niczym Albin i w żadnym słowie ani geście nie przypomina łaszącego się do kieszeni przyjaciela hulakę i birbanta. „Zespołowy reżyser” doprawił go natomiast — jakby nie dowierzając Fredrze — sosem „społecznej satyry”, robiąc tym samym z sympatycznego w autorskim zamiśle lekkoducha — zwykłego drańka. Jakież to nieprawdziwe — myślimy.

Od drugiego aktu wszystko jednak się zmienia. To już nie naciągana satyra, a nie-

mal farsa. Całkiem niezła farsa — zagrana z tempem, ze znośną dozą zgrywania się, wesola, frapująca. Aktorzy, zwolnieni od obowiązku „demaskowania” postaci, grają rzeczywiście zabawnie i — co za tym idzie — tym lepiej je demaskują. Widownia śmieje się coraz częściej i podziwiała ogromną — jak na ów czas — technikę Fredry, gromadzącą go na scenie w trzecim akcie całą piątkę bohaterów komedii, z których żaden w głębi duszy nie chce ślubu, a oficjalnie — zmuszany konwensansami — do tego ślubu dąży.

Do jakiego ślubu?... Dajcie mi spokój — powiedziałem przecież, że jest to komedia nieznana i nie chcę zabierać przyszłemu widzowi emocji, płynących ze śledzenia jej perypetii.

Jeżeli chodzi o stronę aktorską spektaklu, to jest ona tak bardzo nierówna i niejednolita, że szczegółowa analiza rozsądziłaby łamy tej króciutkiej recenzyjki. Najbardziej fredrowscy wydali mi się Jan Orsza (Warski) i Marta Chruściel (Antonia) — zresztą zobaczycie sami. Tym razem rację ma bowiem program, zapowiadając, że dzisiaj Fredro posiada już „swoją widownię”, która — to mówię, już od siebie — pójdzie na niego niezależnie od tego, czy recenzent krzywi się czy nie. Ja się nie krzywię.

J. P.